Rozmaitości

Dnia 20. Kwietnia Nr 16. 1839 Roku.

JENIEC
MIĘDZY CZERKASAMI.
Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

»Dłużéj niż zwykle ukrywał się śmiały Chamurzyn z swoją bandą w parowach gór skalistych, i czatując na zdobycz przeciągał po naszych stepach na lewym brzegu Tereku. Jednakże za nim szło nieszczęście. Bądź zaniedbał potrzebnéj baczności w swych wycieczkach, przezco uszła najlepsza pora zdobyczy; bądź pod mocną zasłoną nadjechała rossyjska karawana, na którą z swoją acz śmiałą, jednak nieliczną zgrają uderzyć nie śmiał. Jednak zuchwałość jego gnała go bez ustanku, a los w złudnym widoku połowu zastawił mu sidła, w których zgubę swą znalazł. Postanowił zmierzyć się z Rossyjanami, zostającymi na swoich posterunkach. Jak zamyślił tak i uczynił; już za sobą daleko zostawili zbójcy swoje szałasze, a po naszych rozległych stepach zatętniło kopyto ich dzielnych rumaków. Byłato wiosna; zielona murawa okrywała już stepy; z mroźnym jeszcze wiatrem padał czasami mocny dészcz, który zapładniał budzącą się ze snu naturę. Podczas jednego z tych dżdżystych, zimnych wieczorów, Kozacy z najbliższego posterunku nad Terekiem, udali się do swoich siedzib i zamknąwszy wrota, oddali się swobodnie swoim zatrudnieniom domowym. Wkrótce nastąpiła tak czarna ciemność, o jakiéj mieszkańcy Północy żadnego wyobrażenia nie mają. Najbystrzejsze oko nie zdołało o dziesięć kroków choćby najbielszego dostrzedź przedmiotu. Gdzie niegdzie w oknach chat widać było migające się światło, tu i owdzie odzywały się kozackie pieśni, którym szum dészczu, świst wiatru uganiającego się po stepach, i warczące kołowroty żon kozackich towarzyszyły. Kozacy szeregowi żyją w ogólności w dostatkach; wojna i gospodarstwo domowe są u nich nierozdzielne. Rzemiosło i rozmaite wyroby podają im sposobność do zarobku i wygodnego życia. Większa ich część przeniosła się w te miejsca z Rossyi południowéj, a jakkolwiek sposób życia wojennego o wiele zmienił ich charakter, przecież nie zatarł znamion rossyjskiéj narodowości. Nakoniec ustała ulewa, ale wiatr srożył się jeszcze ciągle śród ciemnéj nocy. Gdy oto nagle nad całém siołem kozackiém rozpostarła się krwawa łuna; w jednéj dzielnicy wybuchnął pożar; wichr zerwawszy z chaty palącą się strzechę, roztoczył płomień po całém siole, i wszystko ogarnęły ogniste kłęby dymu. Pośród wrzawy bieżących w pomoc, śród jęku nieszczęśliwych i trzasku upadających chat ozwał się na drugim rogu sioła wrzask przeraźliwy. Kozacy gaszeniem ognia zajęci mniemali, żeto jest krzyk niewiast pogorzeliskiem p[illegible] lęknionych; lecz nie długo trwało, gdy zgraja kobiét i dzieci nadbieżawszy z przestrachem, zawołała: »Na pomoc! na pomoc! Czerkasy mordują!«

»Na chwilę wszyscy Kozacy jakby wryci stanęli, nie wiedząc co mają począć w tym przypadku, czy ogień gasić, czyli téż od zbójców ratować swe rodziny. Jednakże nie długo się namyślali; większa część z nich pospieszyła na drugi róg sioła, gdzie okropny widok ujrzeli. Tam był Chamurzyn z swoją bandą; już on od dawna czekał na sposobność rabunku, a ogień, który w siole

wypuchnął, był dla niego ku temu hasłem pożądaném. Powszechne zamieszanie sprzyjało jego zamysłom i nim jeszcze Kozacy w pomoc zdążyli, już Czerkasy rabowali ich siedziby i zabijali żony, dzieci i wszystko, co im tylko opór stawiło; nakoniec zabrawszy znaczną część trzody, pognali ją w stepy i zniknęli. Nieszczęśliwi Kozacy tak byli tą stratą zasmuceni, że chociaż podziwiali śmiałość najezdników, przecież im tego łupieztwa przebaczyć nie mogli. Jeszcze ranny zmrok nie zaczął przeciérać się na niebie, jeszcze czerwona łuna oświecała całą wioskę, a już liczny oddział Kozaków za zbójcami w stepy w pogoń się puścił. Dopiéro dnia drugiego z rana stanął u gór podnóża, i zaledwo, że niebo od wschodu rozwidniać się zaczęło, już mu w dali dał się widzieć czerwony odblask na niebie, który za zbliżeniem się tém bardziéj go przekonał, że ta łuna od jakiegoś koczowiska pochodzi, i zaraz na ten wpadł domysł, że w tém miejscu rozłożyła się banda Chamurzyna. I tak było w saméj istocie. Daleką drogą i nocnym rabunkiem utrudzony Chamurzyn, kazał zatrzymać się swéj bandzie i wypocząć w tém miejscu. Hałasująca zgraja ta, roznieciwszy ognie na kilku miejscach, wesołemi okrzyki zwycięztwo obchodziła. Straszni mieszkańcy Kaukazu, leżąc na burkach rozciągnięci około ogniska, pośród głośnego gwaru oddawali się wypoczynkowi. Jedni z nich zajmowali się końmi; drudzy zabijali owce lub oczyszczali ze krwié broń, lub zdobyczą się dzielili. O podal w lesie stały porozstawiane straże, które jednak na widok podziału zdobyczy i smacznego jadła nie mogły się wstrzymać, aby razem z swymi towarzyszami radosnych okrzyków nie wydawały, podczas gdy już anioł zemsty nad ich głową się unosił. Skoro się Kozacy przekonali, że ich domysł jest niezawodny, natychmiast zsiedli z koni i z przezornością zbliżyli się do miejsca, w którém rozbójnicy biesiadowali. Szczęściem, iż powaga naczelnika poskromiła zaciekłość, z którą bez wszelkiéj przezorności oślep na Czerkasów uderzyć chcieli. Lecz gdy się im nareszcie całą bandę obsaczyć powiodło, wtedy zagrzmiawszy głosném *hurra!* i dawszy rzęsisto ognia, na swoich nieprzyjaciół wpadli. Myśl, że są bezpieczni w owém miejscu była powodem, że się zbójcy z razu upamiętać nie mogli i nim za broń ujęli, już wielu z nich trupem poległo. Chamurzyn przekonawszy się, że wszełki opór jest nadaremny, ucieczką ratować się zamyślił. Zerwawszy się poskoczył do konia i chciał szablą rozciąć cugle, któremi przednie nogi były spętane; lecz w pośpiechu zamiast ugodzić w takowe, zaciął po nogach konia, który stanąwszy dęba o ziemię nim rzucił. Chciał on się podnieść i do oporu stanąć, lecz już go kula w pierś ugodziwszy trupem położyła. Téjże chwili Kozacy rzucili się z zaciekłością na pozostałych, i tylko jeden z nich, który tę smutną nowinę w góry zaniósł, życie ocalił. Skoro w pośrodku plemion kaukazkich rozeszła się wieść o śmierci Chamurzyna, powstały powszechne jęki i narzekania. Kobiéty załamując ręce zawodziły żałośnie, mężczyzni odgrażając zemstą, miotali najokropniejsze przekleństwa, a mając mnie za przyczynę jego śmierci, zamordować mnie chcieli, wrzeszcząc: »Tento giaur pisał do domu, i doniósł, w których stronach nasz Chamurzyn przebywa. Zabić go, zabić tego psa niegodziwego!« A jednak ja nie byłem przyczyną ich nieszczęścia. Atoli każdą razą, gdy Czerkasy na mnie rzucić się chcieli, wstrzymywał ich brat Chamurzyna; z początku podziwiałem tę jego szlachetność, lecz wkrótce poznałem, że byłem w błędzie. Chłopiec, który mi posługiwał, będąc cokolwiek obeznany z ich językiem, doniósł mi o rozmowie Czerkasów. Ja sam zrozumiałem niektóre słowa, i dowiedziałem się o losie, który mnie oczekiwał.«

»Za dni cztérnaście miał nastąpić u Czerkasów post, *ramazanem* zwany, a po nim święto *bejramu*. Wtedy obchodzą oni pamiątkę wszystkich pomarłych i poległych swych krewnych; wtedy zabijają dla nich ofiary, a tą razą i ja na ten cel byłem przeznaczony. Lecz wprzódy, dla nasycenia zemsty swojéj, pastwić się chciano nademną i przedłużać moje męczarnie, jako na złoczyńcy, który stał się przyczyną śmierci ich atamana. Okropna czekała mnie przyszłość, podczas gdy już mi na zniesienie teraźniejszości sił nie wystarczało. Od chwili jak przybyła wiadomość o śmierci Chamurzyna, trzymano nas jeszcze pod ści-

ślejszą strażą; nocą wkładano nam na szyję obręcz żelazny z łańcuchami, które tak były ciężkie, żeśmy ich podnieść nie mogli; podczas dnia otaczali nas ciągle straszliwi nasi nieprzyjaciele, których każde słowo tchnęło mordem, krwią i okrucieństwem. Pożywienie nasze było coraz gorsze, podlejsze; nie raz rzucano nam na pół zgniłe zwierząt jelita. Można sobie wyobrazić, jakeśmy wyglądali przy takowym pokarmie; z przestrachem poziérałem na mego towarzysza. Nieszczęśliwy Cz*, blady jak trup, wyschły jak szczypa, z wielką brodą i zmierzwionemi włosami, z pod których mgławe i głęboko zapadłe oczy wyglądały, już prawie ani się ruszyć, ani słowa przemówić nie mógł. W podobnym i ja byłem stanie; jednakże miałem mocniejszą budowę ciała, która cokolwiek więcéj znieść mogła, a przecież w końcu zacząłem tracić odwagę; nie raz w rozpaczy chciałem sobie życie odebrać, jednakże wkrótce upamiętawszy się, grzészne te myśli szczérą skruchą i gorącą modlitwą odpokutować się starałem! Ach, jakąż ulgę przynosiła gorąca modlitwa sercu mojemu! Zdawało się, jak gdyby w nie promień światła się spuszczał, jak gdyby je jakiś połysk nadziei ożywiał. Tymczasem mój mały służalec z każdym dniem przynosił mi coraz gorsze wiadomości; z płaczem oznajmił, że się zbliża chwila mojego zgonu, i że mnie najokrutniejsze czekają męczarnie. Z razu zadrżałem; lecz poźniéj, pokrzepiony ufnością w Bogu, z spokojnym umysłem oczekiwałem mąk cielesnych. Z resztą zdawało się mi zawsze, że się w sercu mojém jakiś głos wybawienia odzywa. Szczérą prawdę mówię... nie raz zdało się mi, że czekam na kogoś, który mnie z więzienia uwolnić przyjdzie. Przed oczyma mojemi snuły się zawsze obrazy *Kaukazkiego jeńca* przez Puszkina, rozjaśnione radością i nadzieją, jakie w słowach szczytnych jeniuszów najczęściéj są zawarte. Taka jest potęga poezyi prawdziwéj! Wierzyłem w marę, która jeszcze rzeczywistości nie miała. Byłem przekonany, że ten utwor mojéj fantazyi, koniecznie się pojawić musi. Jednego razu przyszła mi ostateczna myśl do głowy: Namówiłem mojego chłopca, aby do naszych kajdan o klucz się postarał, który brat Chamurzyna zawsze w nocy pod swój siennik chował. »Gdybym mógł uwolnić z kajdan siebie i mego towarzysza,« pomyślałem sobie, »wtedybym pomordował śpiących Czerkasów i ucieczką się ratował.« Zamysł ten podówczas zdawał się mi być rozsądnym; nie rozważyłem, że to był zamysł tonącego, który się brzytwy chwyta. Z tém postanowieniem czekałem na mego wybawiciela z kluczem, ale nie przyszedł; nareszcie i zmrok zapadł, a jeszcze go nie było. Znużony niespokojném oczekiwaniem usnąłem. Gdym się nazajutrz z rana ocknął jeszcze nie było mego chłopca, i odtąd jużem go więcéj nie widział. Zdaje się, iż Czerkasy docieldi, że był ze mną w porozumieniu, i obawiając się kary, umknął. Tak mi poźniéj opowiadano.«

»Tymczasem Czerkasy odmawiali codziennie modły za umarłych. Każdego rana zbiérali się gromadnie w naszém pomieszkaniu, aby modlić się za poległego atamana. *Mułła*, ich kapłan, stawał zwykle pośrodku i odczytywał zwolna modlitwę z koranu, a za nim powtarzali wszyscy każde jego słowo. Nie raz pośród modlitwy, zwróciwszy wszyscy ku mnie swoje twarze, wygłaszali jakieś wyrazy, których nie rozumiałem; lecz sądząc z dzikich jestów tych ludzi, można się było domyśléć, że to były straszne przekleństwa. W tym samym czasie u wdowy poległego Chamurzyna zgromadziły się pokrewne niewiasty, w celu opłakiwania śmierci swojego wiekopomnego atamana. W przerażających jękach wyrażały one swą żałość. Dzikie te wrzaski dręczyły moje uszy i serce. Jestto wrodzonym przymiotem natury ludzkiéj, iż serce nasze mocniéj obcy żal, niżeli obca radość przenika; obca żałość sprawia w duszy naszej zawsze smutne wrażenie, lub pojawia się jak zwiastunka smutnéj przyszłości i zawsze nas rozrzewnia. Dla tego w dwójnasób cierpiałem w tych chwilach do modłów przeznaczonych, które codziennie po dwakroć powtarzane, prawdziwą dla mnie katuszą były. Tym sposobem upłynął cały tydzień. W tém nagle rozeszła się pogłoska, że dla uwolnienia mego Rossyjanie się zbliżają. Wielki rozruch powstał między Czerkasami, i w przeciągu jednéj godziny zebrała się cała osada, dla schronienia się śród skalistych wąwozów. Mężczyzni powsiadali na

konie, kobiéty na powózki jednosprzężne o dwu kołach, *arba* zwane. Mnie i mojego towarzysza skrępowanych na koń wsadzono, a przewodnikiem naszym był ten sam Czerkas, który nas od początku naszéj niewoli pilnował. Nazywał on się Ika i był jako nieodstępny towarzysz Chamurzyna najpiérwszym do bitwy i najpiérwszym do krwié rozlewu. Nie był on i wtedy ostatnim, kiedy ucieczka była jedynym środkiem do ocalenia. Tym sposobem uszedł powszechnéj klęski przy ostatnim Kozaków napadzie na Chamurzyna. Onto przyniósł wiadomość o jego śmierci. Wieczorem odbywszy przez ciasne wąwozy przykrą drogę i przeprawiwszy się z wielką trudnością przez wysokie góry, dostaliśmy się do Czeczny, siedliska Czeczeńców, najdzikszego i najbitniejszego plemienia górali. W tém miejscu zaprowadzono nas do ziemlanki i okuto jak wprzódy w kajdany. Jęki i narzekania kobiét niepokoiły nas znowu bez ustanku, podczas gdy nam głód do żywego dojmował. Zaledwo, żem się na nogach mógł utrzymać, i nie mogąc słowa przemówić oczekiwałem z niecierpliwością rozstrzygnienia mojego losu. Wiedziałem, że nie za długo padnę śmierci ofiarą, a jednak w sercu mojém odzywało się jakieś przeczucie, że jeszcze żyć nie przestanę. Nie widziałem przed sobą żadnego środka ratunku, a jednak miałem nadzieję, iż mnie potężny głos poety nie zwiedzie. »Przygotuj się, Rossyjaninie, na dzień jutrzejszy,« rzekł do mnie srogi Ika, wszedłszy pewnego wieczora z bratem Chamurzyna do mojego więzienia i włożywszy na mnie po raz osatni straszne kajdany. »Przygotuj się!« powtórzył jego słowa jakiś pocieszający głos w mojém sercu.

»Przez rozwarte drzwi ziemlanki wzniosłem oczy moje ku niebu, które było pogodne i roziskrzone gwiazdami; cichym głosem zacząłem zasyłać najszczérsze modły, i w okamgnieniu uczułem taką ulgę w mém sercu, iż się mi zdało, jak gdyby już ze mnie kajdany spadły, jak gdybym już był ocalony. Strasznym brzękiem ozwały się łańcuchy, gdy je brat Chamurzyna zamknąwszy na mojéj szyi, rzucił pod moje nogi. Poczém gdy zatrzasnął drzwiami, zdało się nam, że już od całego świata oddzieleni jesteśmy. Zimna dreszcz przeszła po moich członkach; straszliwa trwoga opanowała serce moje. Towarzysz mój rozpłakał się; zaczął się modlić. Widok ten rozczulił mnie, byłem przekonany, że on także za mnie się modli, i zapłakałem podobnież nad moim losem. Wkrótce jednak wzniosłem także moje myśli do Boga, i znowu dawna spokojność do mojéj duszy wróciła. Starałem się pocieszyć mojego towarzysza, który bardziéj niż ja na umyśle upadał. Oznajmiłem mu ostateczne moje życzenie, prosząc go, aby pozdrowił ode mnie mych przyjacioł, jeżeli Opatrzność dozwoli, że ich prędzéj niż ja zobaczy, w końcu pożegnałem się z mym towarzyszem. Tymczasem noc zapadła. Wszędzie panowała najgłębsza cisza. Czułem się być znużonym i zasnąłem. Nie wiém jak długo spałem; pamiętam tylko, że mnie okropne sny dręczyły, i żem we śnie jakąś młodą widział niewiastę, która patrząc z politowaniem rękę do mnie wyciągać się zdawała. Z uniesieniem ująłem ją, lecz zamiast ręki młodéj niewiasty ujrzałem krwią zbryzganą, od tułowu odciętą niewieścią głowę. Ucałowałem ją. Gdy oto głowa ta, otworzywszy swoje różane usta, na których unosił się niebiański uśmiech, przemówiła do mnie cichym, anielskim głosem: »Żegnam cię; bądź zdrów mój przyjacielu!« Poczém przytuliłem ją do moich piersi i zacząłem płakać rzewliwie. W téj chwili starałem się przebudzić, lecz nie mogłem wybić się ze snu. Zdało się mi, jak gdyby jakiś wielki ciężar przygniatał moje piersi; byłato ta sama głowa, która rozpostarłszy się nade mną, śmiała się, groziła i krwawe łzy roniła. Nakoniec nachyliwszy się do mnie pocałunek mi dała; a w tém się ocknąłem. Głowa moja była jak ogień rozpalona, usta wyschły zupełnie, język lépnął do podniebienia. Zdało się mi, że na licach moich jeszcze czułem pocałunek gorący. Wkrótce jednak odzyskawszy przytomność, uczułem, że mnie wskróś zimno przejęło. Powietrze w naszéj ziemlance było wilgotne, a prócz tego noc była jedną z najzimniejszych w téj porze roku. Chciałem ile możności okryć się moim podartym płaszczem. Podniosłszy się z wielką trudnością zacząłem otulać na około siebie rozpostarte poły; w tém uczułem pod ręką coś twardego. Ciekawy, cobyto było, chwytam w rękę

i poznaję... O Boże!... poznaję klucz! ten sam klucz, który zamknął moje kajdany!... Zdziwiony wstrząsłem się i zadrzałem. Nie dowierzałem sobie samemu. Miałożbyto być tylko złudą snu okropnego?... Ta głowa?... Ta niewieścia postać?... Zmieszałem się. Byłem jak gdyby obłąkany.«

»Przyjacielu! bracie! jesteśmy ocaleni! Oto jest klucz! Cicho, ani słowa!« To wyrzekłem do zdziwionego Cz*. Towarzysz mój nie chciał mi wierzyć, sądził, że w rozpaczy pomieszania zmysłów dostałem, i starał się mnie uspokoić. Ale gdy opadły ze mnie kajdany, gdy jak człowiek wolny przed nim stanąłem, wtedy nieszczęśliwy Cz* nie mogąc znieść téj niespodzianéj radości, stracił przytomność! Ja tymczasem uwolniwszy go z kajdan porwałem dzbanek, który stał przy naszym słupie i orzeźwiłem go wodą. Gdy towarzysz mój dźwignął się z mierzwy, z jakąż czułością uścisnęliśmy się obadwaj! z jakąż radością zalaliśmy się łzami!...Jednakże nie było chwili do stracenia. Wybawienie nasze już tylko od nas samych zależało. Potrzeba było jak najprędzéj wydobyć się z naszéj chaty. Ochłonąwszy z zapału zaczęliśmy pracować nad naszém wybawieniem. Chata nasza była źle zbudowaną, podobnie jak wszystkie pomieszkania koczujących Czerkasów. Pomimo że na siłach byliśmy wycieńczeni, powiodło się nam jednak wykopać rów pode drzwiami, i téj saméj chwili dostaliśmy się na wolność. Tak, na wolność, pod szérokie, otwarte niebo! Ach, jakież wzniosłe uczucie opanowało duszę moję, gdym się ujrzał na wolnéj stopie! Z radości ucałowałem ziemię, rozpłakałem się i radbym był cały świat do mojego serca przycisnąć! Nagłe przejście z zamkniętego więzienia na wolne powietrze, tak wielki wpływ na nas wywarło, żeśmy wkrótce uczuli się być bardzo znużonymi i ledwo się na nogach utrzymać mogli; tymczasem Opatrzność, która nas niewidomą i litosną ręką wybawiła z nieszczęścia, pokrzepiała naszę odwagę. Po chwili namyślenia powstałem pierwszy i udałem się ścieżką, którę sobie dokładnie przypomniałem, gdy nas uprowadzono. Towarzysz mój Cz* szedł za mną. Znany mi był charakter Czeczeńców, którzy za pieniądze do wszystkiego gotowi, i dla tego zamierzyłem udać się do najbliższéj zagrody i za ocalenie moje ofiarować znaczny okup. Nie wątpiłem bynajmniéj, że Czerkasy ścigać nas będą, i z tego powodu spieszyłem ile możności, by się dostać do jakiego gęstego lasu, albo głębokiego jaru, w którymbyśmy przez niejaki czas ukryć się mogli. Miałem nawet nadzieję, iż nad rankiem dostaniemy się do zagrody Czeczeńców. Z początku szedłem razem z mym towarzyszem; lecz postrzegłszy, iż kroki nasze na zbielonéj od szronu trawie zbyt widoczne zostawiają po sobie ślady, rozłączyliśmy się ze sobą dla zejścia się w jednym parowie, któryśmy w dali postrzegli. Tym sposobem dostałem się do skalistéj, małéj pieczary, jednakże nie widziałem w niéj dla siebie bezpiecznego schronienia. Byłem więc przymuszonym puścić się daléj, lecz upadałem na siłach. Chcąc wypocząć, zatrzymałem się na chwilę; poczém spojrzawszy po za siebie, nie widziałem już mojego towarzysza, który w chaszczach się ukrył, ale postrzegłem, że mój ślad był bardzo znaczny, a ztąd dla mnie wielkie niebezpieczeństwo. Umyśliłem temu zaradzić. Wypocząwszy przez chwilę, szedłem daléj, używając wszelkich sposobów do zniszczenia po sobie śladu: raz przemykałem się po suchém pręciu, raz znowu krążyłem w około chaszczów, aż nakoniec dostawszy się do jakiegoś potoku, i postrzegłszy, iż w tém miejscu zatracić mogę po sobie wszelkie ślady, puściłem się w bród, w którym częścią przeprawiałem się po kamieniach, częścią brnąłem wzdłuż jego brzegów. Zamysł ten powiódł się tak szczęśliwie, iż zanim się jeszcze do potoku dostałem, ślady moje częścią w pręciu, częścią w chaszczach zginęły. Lecz zato uczułem się zupełnie osłabionym, pokaleczone nogi moje, pozbawione obuwia, które zrabowali Czerkasy, zaledwo mnie jeszcze dźwigać zdołały; na całém ciele drzałem od zimna: umykając z więzienia, aby być lekszym, zostawiłem i płaszcz i czapkę; miałem tylko spodnie i koszulę na sobie. Z każdym krokiem upadałem na siłach coraz bardziéj, i zaledwo, żem się jeszcze ruszyć mógł z miejsca, gdy oto nagle straszny zgiełk obił się o moje uszy. Usłyszałem wrzask Czerkasów, kobiet i dzieci, połączony z psów szczekaniem,

których dla wyszukania nas w las wypuszczono. Tego środka używają bardzo często Czerkasy już dla wytropienia swych nieprzyjaciół, już dla zabezpieczenia zagród swoich od niespodziewanéj napaści. W niektórych warowniach, położonych między górami, zaopatrują się nasi żołnierze także témi stróżami; trzymają ich w wielkiéj ilości, a w nocy wypuszczają z warowni. Wierne stróże te biegają przez całą noc około szańców i szczekaniem swojém zawiadamiają nieraz załogę, że się nieprzyjaciel przybliża.«

»Po radosnym okrzyku, który się nagle rozległ po lesie, poznałem, iż prześladowcy trop mój odkryli, i z każdą chwilą słyszałem coraz bardziéj, iż się z wrzaskiem do mnie zbliżają. Ujrzałem wprawdzie już przed sobą potok, ale będąc bardzo strudzonym nie miałem nawet tyle siły, abym szybko zdążył do niego, gdyż z obawy, by nie wpaść w ręce mych nieprzyjaciół, nogi pode mną drżały. Usiadłem zmordowany przy podpalonym odziemku drzewa, postanowiłem zostać w tém miejscu i oczekiwać mego losu; przekonany, że do ocalenia mego użyłem wszelkich sposobów, jakie tylko były w méj mocy, pocieszałem się tą myślą, że Bóg nie chce, abym był ocalony. Jednakże trudno mi było usiedzieć, chciałem przyjądz; lecz suche odziemki i kolczyste gałęzie kaleczyły mnie. Postrzegłszy w pobliżkości dwa wielkie ścięte drzewa, postanowiłem zawlec się do nich, i w tém miejscu oczekiwać mojego końca. Zebrawszy wszystkie siły moje, dostałem się tam i ujrzałem, iż drzewa te leżały tak blizko jedno przy drugiém, iż się między niemi wygodnie położyć mogłem. Ułożyłem się w ten sposób, że mnie wcale widać nie było. Czyniłem to wszystko bez wszelkiego postanowienia, pobudzony jedynie jakimś instynktem, ponieważ zwątpiwszy o ratunku moim, już wcale o nim nie myśliłem. Cała zgraja prześladowców moich, przeprawiwszy się przez potok, wkrótce rozbiegła się po lesie. Na domiar mego nieszczęścia, utrudzone Czerkaski usiadły właśnie na zrąbanych klodach, między któremi leżałem. Wokoło uganiały psy szczekające, ale żaden z nich nie zbliżył się do mojego schronienia, gdzie Czerkaski wypoczywając o czémeś z żywością rozmawiały. Tym sposobem upłynęła niejaka chwila. Przeziębłe Czerkaski dla ogrzania się roznieciły ogień, podczas gdy ich mężowie rozbiegłszy się po okolicy, jak się zdawało, coraz bardziéj od nas się oddalali. Niebawem za nimi udały się kobiéty. Jednakże jedna z nich pozostała z chłopcem, który zbierając suchy chrust, na ogień go rzucał. Nieraz przybliżył się do kłód, pomiędzy któremi leżałem, a jedną razą gdy z drzewa zedrzéć chciał kawał kory, zsunęła się mu czerwona czapka z głowy i prosto mi na oczy spadła. Chłopiec schyliwszy się chciał ją podnieść i spostrzegł mnie!... Przestraszony wrzasnął na głos: »Kapitan, kapitan!« Tak mnie zwali Czerkasy. Czerkaska odbiegła z nim natychmiast wrzeszcząc podobnież z całéj siły: »Tu jest kapitan, tu jest kapitan!«

(Dokończenie nastąpi.)

MIĘDZY
ZIEMIĄ A RAJEM.

O, bracia! wyznać nam trzeba,
I wyrzec słowy świętemi:
»Że kształty pochodzą z ziemi,
»Przymioty darem są nieba!«

Patrz, tu wdzięcznie w pustéj ciszy
Strumyk swe skargi rozwodzi,
A tu trawka którą chłodzi,
Wiosnę czuje — skargi słyszy.
Ten poważny śpiéw strumyka,
Ta trawka, co woni majem,
Zawieszają śmiertelnika
Pomiędzy ziemią a rajem!

Bo bracia wyznać nam trzeba,
I wyrzec słowy świętemi:
»Trawa i woda są z ziemi,
»Lecz woń i podźwięk są z nieba!«

Jak anioł piękna kobiéta,
Postać jéj wiosną się śmieje;
Uśmiech na ustach zakwita,
I śmielszy w oczach jaśnieje.
Ta postać, co nas przenika,
Oko, co śmieje się majem,
Zawieszają śmiertelnika
Pomiędzy ziemią a rajem!

Bo bracia wyznać nam trzeba,
I wyrzec słowy świętemi:
»Że całe ciało jest z ziemi,
»Usta i oczy są z nieba!«

Twórczéj sztuki arcydzieło,
Duszę w objęcia ujęło;
I błyszczy perłą zapału,
Jak wiosna rosą z kryształu.
Ta sztuka, co nas przenika,
Ten zapał, co błyszczy majem,
Zawieszają śmiertelnika
Pomiędzy ziemią a rajem!

Bo bracia wyznać nam trzeba,
I wyrzec słowy świętemi:
»Że sztuka pochodzi z ziemi,
»Zapał odblaskiem jest nieba!«

Kraków r. 1834.

G. E.

(Tyg. Pozn.)

ZE LWOWA.

Nakładem księgarni Franciszka Pillera i spółki wyszło właśnieco z druku dzieło: *Zasady pielęgnowania owiec i znajomości wełny*, przez *Dr. Löhnera;* tłumaczenie z drugiego pomnożonego wydania przez *F. K.* Z r y c i n ą. — Dzieło to napisane przez męża najchlubniéj w zawodzie gospodarskim i owczarskim znanego, a uznane przez c. k. patryjotyczno-ekonomiczne towarzystwo czeskie jako w z o r o w e, zaleconém być

może nie tylko początkowym, ale i wprawniejszym owczarzom. Pomiędzy wszystkiemi dotąd w tym przedmiocie wydanémi, odznacza się ono najkorzystniej: logicznym porządkiem przedmiotów i prawideł, ustaloną terminologiją, nie mniej jasnym, zwięzłym i popularnym wykładem. Mimo że język polski nie jest w dzieła o owczarstwie ubogi, nie wahamy się wyrzec, że niniejsze zasługuje ze wszech miar na pierwszeństwo; zalecamy je tedy, życząc mu sprawiedliwie dobrego przyjęcia i upowszechnienia.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 16. i obejmuje: 1) O bronowaniu zasiewów pszenicy ozimej na wiosnę. 2) O chowie drzew owocowych (ciąg dalszy). 3) O kołowaciznie. 4) Jakie aparaty gorzelniane są najlepsze. 5) Nadzwyczajna szybkość wozu parowego.

P. Samuel Nowoszycki z Krzemieńca umieścił w »Tygodniku Petersburskim« (N. 22. i 23. r. b.) ciekawą wiadomość o posiadanym przez siebie poemacie, opiewającym pamiętną *Wojnę Chocimską* z Turkami za Zygmunta III., którego autorem ma być Hieronim z Lipia Lipski herbu Szreniawa, żyjący podczas téj wojny. Rękopis ten, mieszczący w sobie do dziesięciu tysięcy wierszy, sto kilkadziesiąt lat zostając w ukryciu, szczęśliwym trafem dostał się w autografie do rąk swego teraźniejszego właściciela. Żaden z bibliografów nie wspomniał o tym poecie, którego wnioskując z przytoczonych w »Tygodniku« wyimków, między lepszych swojego czasu policzyć można. Jestto tak pod względem historyi, jakoteż języka ze wszech miar ważne dla literatury polskiej odkrycie, i życzyćby należało, ażeby p. Nowoszycki jak najprędzéj na to dzieło szukanego znalazł nakładnika, iżbyśmy czytać mogli w całości ten poetyczny utwór naszego przodka, do czego nas pięknemi udzielonemi właśnie ustępami rozciekawiono. S. J.

Karol Lipiński teraz w Moskwie dawał koncerty; między opisami zadowolenia, z jakiem był przyjęty, jest następujące: »Kiedy przyszło do *andante* w drugiéj części *concerto militare*, zdawało się, że boleść całego ludu rozdziera duszę; zdawało się, że krzyk zrozpaczonej rodziny wyrywa się z pod smyczka. Było to zburzenie Babilonu, Niniwy, Festyny Baltazara, Potop, wszystkie obrazy Martina! Dziwna potęga tego smyczka, wywodziła najświetniejsze karty z historyi świata; klęski i zniszczenie, radość i krzyk wydzierający się z łona zrozpaczonéj matki.«

Z Wiednia. Z początkiem r. b. wyszła tu książka dla lekarzy, pod tytułem: *Polygloton medicum, eine Anleitung zur Verständigung des Arztes mit dem Kranken.* Rozprawa ta, któréj autorem jest dr. A. Masch, wytłumaczona jest i wydana razem w sześciu językach, między któremi i polski się znajduje. Tłumaczem polskim jest p. Nikodem Bętkowski, młody w Wiedniu bawiący lekarz.

W Peszcie sprawia wielkie wrażenie piękną grą swoją na skrzypcach ośmletni chłopczyna Józio Joachim, uczeń naszego Serwaczyńskiego.

W Warszawie zaprowadzono tego roku *tańcujące święcone*, które się w pewnym znakomitym domu odbyło.

*

Na czém zależy talent panny Rachel? Talent panny Rachel kilką słowami skreślić można: zawisł on od szczytnéj pojętliwości, rzadkiéj siły czucia, jak i wyjawiania najskrytszych sprężyn namiętności. Okazuje się ona wielka przede wszystkiém w gwałtownych wzruszeniach duszy, któréj głębia tylko jakby przez zasłonę w uśmiéchu dojmującego szyderstwa dostrzedz się daje; w stłumionej boleści, która ukrywając się bez litości sama w sobie, powody swego istnienia rozbiera; w niemej rezygnacyi, która się tylko kiedy niekiedy odezwie; w ostrych pojawach zazdrości, którą duma tylko z trudnością w karbach przyzwoitości trzyma, a któréj zaciekłość uśmiéchem pokryta; tudzież w uczuciach zemsty, która długi czas tając się głęboko w milczącéj piersi, nagle wybucha i zabija. Otoż w przedstawieniu téj całej tajemniczéj strony serca ludzkiego, téj utajonéj walki namiętności, za nim takowe na jaw się wyprą, jaśnieje kunszt jéj w całym blasku. Ironija jest zwyczajnym środkiem, którego panna Rachel używa dla przedstawienia tego stanu duszy, i uzmysłowienia téj wewnętrznéj walki, na którą jéj uśmiéch posępne światło rzuca. Wszystkie środki służą jéj do podwyższenia wyrazu tego traicznego uśmiéchu; i tak najprzód mocny, surowy wzrok, który nawet wtedy jeszcze niejaką dumę w sobie mieści, kiedy modląc się w niebo go wznosi; następnie żywy, niewymuszony chód, który nie ujmując godności, jeszcze bardziéj do omamienia się przyczynia; imponujące poruszenia, których jednak rzadko używa; nareszcie jéj świeża, dziewicza postać i głos, którego samę słabość nawet za sztukę poczytać można. Jakoż w rolach nie wymagających rozwinięcia wielkich namiętności traicznych, w tkliwych, łagodnych charakterach, które zimniéj i spokojniéj odgrywa, nie bardzo się podoba, a lubo i w tych zawsze w niéj widać artystkę, jednakże przebija się nieśmiała, siedmnasto-letnia dziewczyna, o któréj zapominamy, gdy ją w roli heroiny widzimy.

Na tegoroczném wystawie sztuk pięknych w Paryżu było 2404 dzieł artystowskich, między temi 2141 malowideł, 180 utworów rzeźbiarskich, 17 przedmiotów budowniczych, 88 miedziorytów, 28 kamieniorytów. W roku 1834 ilość przedstawionych dzieł wynosiła 2881, a w roku 1838, 2031.

Pomnik dla Napoleona w Ajaccio. W Ajaccio zajmują się obecnie wystawieniem pomnika dla Napoleona Bonapartego. Pomnik ten wzniesiony będzie w kształcie słupa z najpiękniejszego granitu jaki tylko w Korsyce się znajd je. Cały słup wyciosany jest z jednéj bryły, ma 60 stóp wysokości, a przeto będzie godnym spółzawodnikiem kolumny *Vendome* w Paryżu. Z powodu téj wysokości należy on do najznaczniejszych pomników w tym rodzaju i żadnemu z nich w okazałości nie ustąpi.

U francuzkiéj piechoty zaprowadzono skórzane kamasze. Mają one być tańsze, trwalsze i dla zdrowia żołniérza dogodniejsze, niżeli sukienne.

Kieliszki symfonijujące. W Reims zaczęto nie dawno sprzedawać nowy gatunek musującego wina, które muzykalnym szampanem jest nazwane. Nazwa ta pochodzi od nowo wynalezionych kieliszków, które jak długo wino w nich szumi, podobnie do arf Eola bardzo miłe tony wydają.

Wynalazek dla śpiewaków. Niniejszém opisaniem zwracamy uwagę śpiewaków i śpiewaczek na następujący nowy wynalazek, który im stracony głos przywrócić może: P. Tabarie, lekarz paryzki, wynalazł aparat, nazwany dzwonem, jest to: mały gabinet złożony z ścian miedzianych i tafli zwierciadlanych, przez które światło do środka wpada. W małym tym gabinecie 5 do 6 osób zmieścić się może. W posadzce, na któréj dzwon spoczywa, są fugi, w których ściany tego aparatu wstawione, przyśrubować można. Poczém za pomocą machiny pneumatycznéj ścieńcza się w dzwonie powietrze do tego stopnia, że się w niem lekko i przyjemnie oddycha. Jednakże za nim ta przyjemność nastąpi, daje się czuć niejaka mgłość, lekki ból głowy i szum w uszach.

Po niejakim czasie powstaje pewny rodzaj łoskotu w uszach, i wtedy przyjemne uczucie się obudza. Stan, w którym się człowiek wtedy znajduje, jest pełen błogości i pochodzi z rozszerzenia ścieńczonego i łagodnego powietrza w płucach. W takim stanie zostawać można przez dwie godzin, dłużéj lub króciéj, według upodobania, a wyszedłszy z aparatu, czuje się człowiek nad pojęcie zdrowszym, niż wprzódy; po kilkakrotném zamknięciu w tym dzwonie, następuje zupełne wyleczenie. Rzecz ta zdaje się być śmieszną, jednakże jest istotnie prawdziwą. Znany kompozytor Panseron i śpiewaczka Falcon właśnie na ten sposób teraz leczéć się każą. Znamy wielu kandydatów, którymby dzwon ten istotnie był przydatny. Ale mamy nadzieję, iż wkrótce przyjdzie do tego, że każda dyrekcyja teatru postara się o taki dzwon, w którym wszystkich swoich spiéwaków na czternaście dni zamykać będzie. Wtedy zacznie się dla muzyki teatralnéj nowa epoka, słowem, skutków tego szczęśliwego wynalazku nawet obliczéć nie można.

Renifery w Petersburgu. Pewny obywatel gubernii archangielskiéj sprowadził nie dawno 117 reniferów do Petersburga, i oddał na paszę do poblizkiego lasku pod dozór Samojedów. W czasie sannéj drogi pozwolono używać ich do jazdy za opłatą jednego rubla od osoby. Renifery te, bieżąc w zawód z wozem parowym do Carskiego-Sioła, wyprzedziły go o trzy minuty. Właściciel chciał nawet iść o zakład, że go o siedm do dziesięciu minut wyprzedzić mogą, co sprawiło, iż zamożni mieszkańcy Petersburga płacili za renifera po 75 rubli. Sposób utrzymania ich jest bardzo tani, a ponieważ renifery zdatne są także do przewozu ciężkich towarów, można się więc spodziéwać, że w Petersburgu wkrótce się upowszechnią.

Van-Dyk uczeń Rubensa. Rubens ukończył był właśnie bardzo piękną *Madonnę*. Uczniowie jego naleganiem i prośbami nakłonili służącego, że ich wpuścił do pracowni swojego pana. Wszedłszy tam z wielkim pośpiechem, jeden z nich był tak nieostrożnym, iż upadłszy na obraz, na którym jeszcze świéżo nałożone były kolory, zmazał głowę i prawe ramię. Służący postrzegłszy to, jakkolwiek mocno zmieszany, nie traci jednak przytomności umysłu, zamyka natychmiast drzwi na klucz i oświadcza młodym artystom, iż żadnego z nich nie wypuści z pokoju, dopokąd ramię i głowa naprawionemi nie będą. Co tu począć? Ani prośby ani pogróżki nie czynią na służącym najmniejszego wrażenia. Nareszcie młodzi artyści wybiérają z pomiędzy siebie Van-Dyka i proszą go, aby ich z kłopotu wybawił. Jakoż Van-Dyk przystąpiwszy z nieśmiałością do dzieła, drżącą ręką naprawił głowę i ramię. Nazajutrz Rubens wszedł do pracowni i przypatrując się z upodobaniem obrazowi, rzekł: »Zaiste, z chlubą to rzec mogę, iż głowa i prawe ramię bardzo się mi dobrze udały.«

Waleczność kobiéca. Gdy na obradach w izbie wyższéj 1738 r. względem stosunków Hiszpanii uchwalono, aby aż do ukończenia tych toczących się rozpraw wyłączyć z izby wszystkich niepotrzebnych słuchaczy, a zatém i kobiety, a galeryje zostawić otworem jedynie dla członków izby niższéj; niektóre damy polityką się bawiące nie chciały się poddać pod ten wyrok surowy, a między innemi lady Huntington, księżne Queensbury i Lancaster. O godzinie 9téj z rana stanęły przede drzwiami, gdzie sir William Sounderson z przyzwoitém uszanowaniem oświadczył im wyrok kanclerza. Księżna Queensbury, zabrawszy głos, napomknąwszy o niegrzeczności, żądała, aby przynajmniéj ukradkiem ją wpuszczono; ale gdy sir Sounderson i to jéj odmówił, przysięgła, że wnijdzie na złość kanclérzowi i całéj wyższéj izbie. Poczém parowie uchwalili, dopóty drzwi nie otwiérać, dopóki damy od oblężenia nie ustąpią. Ale amazonki te trzymały się mężnie, wszystkie stały na placu aż do piątej godziny, nawet żadna nie odeszła zaopatrzyć się w żywność, i tak mocno tłukły kijami o podwoje, że zaledwo można było słyszéć mowców na sali. Dostrzegłszy, że w ten sposób nie mogą pokonać lordów, użyły wojennego podstępu. Postanowiły zachować się jak najciszéj przez pół godziny, chociaż im to bardzo trudno przyszło, a kanclerz myśląc, że już do domu odeszły, i znając jak członkowie izby niższéj byli już zniecierpliwieni, wydał rozkaz, aby otworzyć podwoje; ale zaledwo takowe otworzono, damy wpadły razem z członkami izby niższéj do sali, poodsuwały ich na bok, zajęły najpiérwsze miejsca na galeryi, i zostały tam aż do godziny jedynastéj pokąd się nie skończyły obrady. W czasie rozpraw dawały poznać swe pochwały klaskaniem i śmiechem, przezco posiedzenie było tak pomieszane, że lord Harvej mowy swojéj dokończyć nie mógł.

Rzadka pożyczka. Przed kilku laty pewien bogaty bankier paryzki pożyczył jednemu młodemu literatowi pienięźną kwotę, którą tenże na zjednanie sobie literackiéj sławy użyć zamyślił. »Dopiéro wtedy zwrócisz mi wćpan tę należytość,« rzekł do niego uprzejmy bankier, »gdy wydasz dzieło, które doskonałém będzie.« Młody autor uzyskawszy swobodny czas przez tę pożyczkę, napisał trzy romanse jeden po drugim. Bankier przeczytał je, ale nie wspomniał wcale o zwróceniu swojéj należytości. Aż oto autor wkrótce znowu czwarty romans wydaje. Bankier waha się jeszcze upominać o swoję należytość, jednakże zasłyszawszy, że najznaczniejsze dzienniki oddają mu wielkie pochwały, pisze do autora tegoż romansu w ten sposób: »Jeżeli wierzyć mogę zdaniu, jakie w pismach publicznych o najnowszém dziele wćpana umieszczono, sądzę, iż teraz przyszedł czas, abyś mi pożyczoną sumę wypłacił.« Na ten list odebrał bankier od autora zamiast pieniędzy następującą odpowiedź: »Przyznaję, że ostatnie dzieło moje jest dosyć dobre, ale ja mam nadzieję, że poźniéj jeszcze lepsze napiszę!«

Szczére wyznanie. Cesarz Maxymilijan zapadłszy pewnego razu na zdrowiu, kazał przywołać do siebie kilku lekarzy w celu, aby się bardziéj rozerwać sposobem ich kuracyi, aniżeli usłuchać ich przepisów. Z tego powodu każdego z osobna, który do niego się przybliżył, zapytał tém słowem: »*Quot?* (Ile?)« Każdy z doktorów usłyszawszy to zapytanie, zmieszał się i nie wiedział jak na nie odpowiedziéć. Jeden tylko stary praktyk pomiędzy nimi dorozumiawszy się, że cesarz wyrazem *Quot* niczego więcéj dowiedziéć się nie pragnie, jak tylko: ilu doktor pacijentów na tamten świat już wysłał? musnął zwolna dłonią po swojéj brodzie i odrzekł: »*Tot!* (Tylu!)« Praktyk ten zjednał sobie łaskę u cesarza, ponieważ przez swą odpowiedź nie tylko największy dowcip, ale nawet największą otwartość okazał.

Niebezpieczne pochlébstwo. Pewny jegomość znajdujący się w towarzystwie, w którym jedna bardzo wymowna dama zabawne zdarzenie opowiadała, patrzył z największą spokojnością na to, że jéj się suknia zajęła, i nie uwiadomił ją o tém, aż gdy swoję powieść skończyła. »Postrzegłem ja wprawdzie,« rzekł poźniéj spokojnie ten nadzwyczajny cierpliwiec, »że suknia pani gorzała, ale widziałem także, iż w tym samym czasie z taką rozkoszą słuchano jéj powieści, iż przez napomknienie o tym przypadku obawiałem się przerwać jéj opowiadania.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*